

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

SZPITAL

Czerwonego Krzyża



Michał Choromański

SZPITAL CZERWONEGO KRZYŻA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-82-8

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987

Projekt okładki: Marcin Labus

Foto na okładce: Szpital św. Łazarza w Krakowie w 1931 r. (NAC)

Spis treści

[Część pierwsza](#)

Część druga

Część trzecia

Część pierwsza

I

Nieporządki zaczęły się dziać w Szpitalu Czerwonego Krzyża.

Pierwszy asystent, młody doktor Witold Chwaciński, zastępujący naczelnego lekarza w czasie jego dwudniowej nieobecności, zamiast pełnić dyżur w szpitalu, wymknął się wieczorem do miasta i wrócił dopiero nad ranem. Zachowaniem swym nie wzbudzał współczucia. Widziano go o świcie, jak odpychający i niemal wstrętny wygrażał pięścią w stronę okien sali ogólnej. W związku z tym ogrodnik szpitalny napisał do naczelnego lekarza anonim takiej treści:

Jaśni Wielmożny Panie Dyrektor!! Z tym doktorem Panem Chwacińskim nie ma siły luckiej, żeby wytrzymać!... Zawsze nie dawał nam żyć, ale teraz w czasie nieobecności Jaśni Wielm. Pana Dyrektora zrobił się na punkcie władzy Lekarskiej zupełnie wściekły! Zwłaszcza to się stało po opatrunku, jaki założył choremu Panu Porucznikowi Łasiczowi. Odtąd bez pozwolenia i wiedzy ucieka do miasta zamiast ratunek medyczny nieść. Niech WP Dyrektor dla dobra wszystkich Asystenta jak parszywego psa wyrzuci. W innej razie to Mu samemu tylko na gożej wyjdzie! Kreślę się z uwielbieniem

Nieznajomy Sługa

Anonim ten do rąk naczelnego lekarza nie trafił, ponieważ przeczytano go przedtem w dyrektorówce i troskliwie zniszczono.

Naczelnym lekarzem tego prowincjonalnego Szpitala Czerwonego Krzyża był chirurg Ksawery Brieg. Ksawery Brieg miał dwóch pomocników: pierwszego asystenta, o którym już była mowa, i drugiego – medyka Józefa Kopytkę. Ordynatorzy: internista Selmoński, ginekolog Waczura, wenerolog Jotko i rentgenolog Karpiński w szpitalu nie mieszkali; dojeżdżali z miasta, pierwsi trzej codziennie, zaś rentgenolog Karpiński dwa razy tygodniowo. Lekarze odnosili się do swej pracy, chorych i chorób różnie, jak również różnie odnosili się do spraw życia i obowiązków ludzkich, do dobra i zła. Dobro i zło w szpitalu mierzono inną miarą niż w miejskim życiu prywatnym; Dojeżdżający lekarze, opuszczając szpital, już za bramą o nim zapominali. Mieszkający w szpitalu stale, Brieg i asystenci, zapomnieć o nim – gdyby nawet chcieli – nie mogli, ich stosunek do chorych i chorób, do życia i śmierci był inny niż tamtych. Zarazki dobra i zła żarły ich od wewnątrz powoli, niewidocznie jak gruźlica.

Dwupiętrowy podłużny gmach szpitala otoczony był wielkim, ładnym ogrodem. Nad gmachem i nad ogrodem, nad personelem i służbą, nad całym duchem i porządkiem szpitalnym ciążyła od piętnastu lat łysa, tłusta, stuczterokilowa postać naczelnego lekarza. Gruby chirurg Ksawery Brieg był przedmiotem zarówno kpin, jak i szacunku. Mieszkał w głębi ogrodu w dyrektorówce spowitej dzikim winem. Po drugiej stronie, w najbardziej zachwaszczonym kącie, widniał niepokąźny dach kostnicy.

Ponieważ była późna jesień – koniec listopada – przeredzone liście ciemniały na drzewach niczym czarna koronka. Nad miastem za rzeką stygły chmury. Szara chmurka stygła również nad połyskującym od rosy szczytem szpitala. I tylko na wyłożonym kaflami poddaszku gmachu, poprzez jesienny dym i szarzyznę, krwawił bez ustanku czerwony krzyż. Czerwony krzyż krwawił na rękawach sanitariuszy – było bardzo chłodno – po raz pierwszy tego dnia w szpitalu puszczone w ruch centralne ogrzewanie. Już o świcie, właśnie gdy wrócił z miasta asystent Chwaciński – była to trzecia z rzędu noc spędzona poza szpitalem – w rurach kaloryferów zaczęło charczeć i turkotać.

W prawym skrzydle mieścił się oddział męski. Numeracja sal zaczynała się na parterze, od narożnej sali ogólnej: chirurgiczno-brudnej. Stało w niej siedem łóżek, chorzy spali. Pod

oknami tej sali przystanął doktor Chwaciński. Doktor Chwaciński myślał wesoło: „Jestem złym człowiekiem i pozostanę złym człowiekiem! Jestem bowiem zanadto uczciwym człowiekiem, aby być dobrym. Dobroć to szwindel! Dobroć wymyślili chorzy ludzie, których nie stać było na uczciwe i otwarte przezwyciężenie życiowych trudności. Zdrowy człowiek jest z natury swej uczciwie złym. Tramtamtam! Nóżka na prawo, nóżka na lewo, dlaczego pani nie chce jeszcze zatańczyć?...”

Roześmiał się i ruszył zygzakami. Z prawej strony ciemniał krzak, ale kiedy doktor Chwaciński chciał go ominąć, krzak przesunął się na lewo, i doktor o mało nie upadł. Było to jeszcze jednym powodem do niewytłumaczalnego śmiechu. Jednakże wnet powstał pewien krępujący odruch, nie wiadomo jaki, w każdym razie związany ze szpitalem i ciszą, jaka w szpitalu powinna panować. Zaciekawiony piętrzącymi się na równej drodze trudnościami – bo poza ruchomym krzakiem nagle skądś wyłonił się biały głaz – Chwaciński wspiął się na czubki butów, podziwiając własną przytomność umysłu i dobry humor. Przyłożył palec do ust. Wokoło był dym, przez dym niejasno przebierały zarysy wielkiego tarasu szpitalnego. Doktor Chwaciński pragnął towarzystwa. Pragnął, chwyciwszy za ramię obojętnie kogo! szerokim ruchem drugiej ręki wskazać nieznane horyzonty, tam gdzie należycie ceniono zapoznane talenty. „Panie! – zawołał – gdybym nie mieszkał w tym parszywym zakątku, gdybym dorwał się do środowiska porządnym ludzi, o, dopiero bym wtedy!...”

Mgliście i zabawnie zafalowały mury szpitala, a taras przysunął się i pochylił tak nisko, jak gdyby zamierzał zgnieść młodego lekarza.

Doktor Witold Chwaciński przed paroma miesiącami ukończył trzydzieści lat. Szczupły i porywczy, o kurzej piersi, trochę skrzywionym nosie – wyglądał na dwudziestoletniego studenta. Toteż jego pewność siebie była po dwakroć nie na miejscu. Ambicje pierwszego asystenta stały w prostym stosunku do jego antypatyczności. Im bardziej był pewny siebie, tym bardziej stawał się odrażający. Doktor Chwaciński dwukrotnie naraził się był na uwagę naczelnego lekarza. Dla znających charakter i zwyczaje Briega znaczyło to wiele. Stało się to w czasie ciężkiej operacji, kiedy asystent sięgnął nożem do rany, niepotrzebnie wyprzedzając chirurga, nie czekając na rozkaz. Wtedy Brieg powiedział:

– Psst!...

To była pierwsza uwaga. Ale kiedy pewny siebie asystent powtórzył nieproszony swą próbę, naczelnny lekarz wysapał spod maski:

– Nie suj se popered bat'ka do pekła!

Była to druga uwaga. Szpital znajdował się na wschodnim Podkarpaciu. Ukraińskie przysłowie „Nie pchaj się przed ojcem do piekła!” wobec otwartej jamy brzusznej mogło oznaczać: niech z początku ojciec wlezie do piekielnej dziury, wraz z odpowiedzialnością za wszystkie niebezpieczeństwa, a potem dopiero asystenci.

Wesoły nastrój doktora Chwacińskiego prysnął tak samo nagle, jak się zjawił. Ustąpił miejsca niezwykle rozgoryczeniu. Teraz myślał tak: „Wszyscy ludzie mówią o sobie tylko dobrze; nawet człowiek, który mówi o sobie, że jest złym człowiekiem, mówi o sobie dobrze. Bo w ten sposób chce pokazać, jaki jest szczerzy. Wierzy jednocześnie, że takiemu szczeremu człowiekowi nikt nie uwierzy, że jest naprawdę zły!” Coraz bardziej brakło towarzystwa, z którym można byłoby podzielić się tymi rozważaniami. Myślał o wszystkim, o rozwianej sukni jakiejś pani, o hałaśliwej muzyce nocnej, o martwakah kości, o dobroci, o swym talencie, o wszystkim – ale nazwisko Łasicza, o którym wspominał anonim, ani razu nie przewinęło mu się przez głowę.

Doktor Chwaciński zawahał się był, czy nie wejść na taras, aby tam z kimś porozmawiać. Jednakże raptownie stracił do tego chęć, gdy uprzytomnił sobie, że byłby wówczas skazany na rozmowę z chorym. Rozmawiać zaś z chorym byłoby tym samym, co rozmawiać z chamem!... Tego twierdzenia Chwaciński na razie nie udowodnił. Odwrócił się i spojrzał na okna sali ogólnej, tak jak gdyby za każdą szybą siedziała ropucha. Zamiast

przestraszyć, to go rozśmieszyło znowu. Pięścią w każdym razie nie wygrażał. – Być złym, być złym! – podśpiewywał beztrzesko, idąc ku schodom kuchennym. Świtało, dym powoli odrywał się od ziemi i teraz Widać było do połowy pnie drzew. Przechodząc obok kotłowni, doktor Chwaciński zauważył przez wąskie okienka palacza Biteskę. Palacz miał zakopconą twarz o połyskujących białkach i zębach. Wbił łopatę w górę koksu i przywitał asystenta życzliwym basem:

– Dobry dzień panu doktorowi! Tak wcześnie?

Służba szpitalna, sanitariusze, posługaczki, palacz, ogrodnik, szofer i inni mieszkali w suterrenach w pobliżu kotłowni. Wszyscy oni, podobnie jak i lekarze, odnosili się do chorych i chorób rozmaicie. Pewna posługaczka z oddziału kobiecego przez dwa i pół roku chodziła z nie gojącym się wrzodem na głowie, nie skarżąc się nikomu, ponieważ w stosunku do chorób zatraciła wstręt, a w stosunku do medycyny – szacunek. Inna posługaczka ustawicznie kochała się w tym lub owym z chorych, twierdząc, że jeśli wyjdzie za męża, to „tylko za słabowitego”. Co dotyczy palacza, to Biteska był znany z tego, że wierzył w zdrowotną siłę miału węglowego. Węgiel i koks najlepiej dezynfekowały wszystko i chroniły przed bakcylami.

Zamiast uprzejmie odpowiedzieć na powitanie, asystent wbił wzrok w szpary okienek, skąd sączył się zapaszek gazu i wyfruwały płatki sadzy. Nachmurzył się, władczo wyciągnął ramię i zawołał:

– Żeby mi tego więcej nie było, Biteska! Zamykajcie okna! Boć to szpital, rozumiecie! zakopiecie wszystkie sale!...

Wyprostował się i wyniosły i dufny w siebie, poszedł dalej, robiąc kroki zadziwiająco sztywne. Świadomość, że z tyłu przygląda mu się rozwścieczony cham, przywróciła mu równowagę. Ale już koło schodów kuchennych przystanął jak wryty, a potem szybko cofnął się za węgiel.

– Choróbska, piorunki, diabełki – wymieniał pieszczotliwie – po cholerkę miałaby mnie zobaczyć!

Szpital widocznie się budził. Drzwi kuchenne otwarto i na ganek wyszła siostra gospodarcza, zakonnica Weronika. Średniego wzrostu, pękata, o okrągłej bezbrwiowej twarzy, w skrzydlatym czepcu i fartuchu, spod którego wystawał granatowy rąbek spódnicy.

Pielęgniarkami w tym szpitalu były szarytki, kobiety po większej części proste i nie jednakowo sympatyczne. Najmądrzejsza była siostra przełożona tudzież operacyjna, zakonnica Antonina. Najbardziej dobra była siostra ambulatoryjna, zakonnica Bronisława. Ale wszystkie siostry: Antonina, Bronisława, Adela, Felicja, Weronika i inne, służąc Bogu, wiedziały niezbitcie, co to jest dobro i zło, umieszczając dobro na górze, a zło na dole. Ten podział nie zawsze odpowiadał chorym, gdyż bojąc się śmierci, sądzili, że jest właśnie na odwrót: na górze zło, a na ziemi dobro.

Zakonnica Weronika parę razy głęboko westchnęła, wciągając poranny chłód i wilgoć. Po czym obróciła się na filcowych piętach i drobnymi kroczkami wbiegła z powrotem. Jednocześnie na tarasie szpitalnym rozległo się skrzypienie i drewniany trzask. Coś ciemnego w kształcie wielkiego, niezgrabnego pulpitu poruszyło się za balustradą i z wolna przesunęło się na sam środek. Wszystko świadczyło o tym, że dzień szpitalny już się rozpoczął.

„Gdyby mi się udało przynajmniej przespać się ze dwie godziny” – myślał doktor Chwaciński, z trudem gramoląc się po schodach. Na piętrze przystanął, przypomniawszy sobie, jak jakaś pani – cholerka, któż to mógł być? – fikała nogami. Nóżka spod rozwianej sukni na prawo, nóżka spod sukni na lewo! Dlaczego pani nie chce ze mną zatańczyć?... Zdławił śmiech, ponieważ nad głową rozległ się cienki srebrny dzwoneczek. Dzwoniono na wczesną mszę.

Kaplica szpitalna mieściła się w lewym skrzydle drugiego piętra, tuż obok trzypokojowego mieszkania asystentów. Ksiądz kapelan mieszkał na tymże piętrze, ale w

prawym Skrzydle, obok separatek pierwszej klasy i obszernej sali zamieszkałej przez siostry. Obecny kapelan szpitalny różnił się od swych poprzedników pod wieloma względami. Między innymi wolał spowiadać rekonwalescentów niż umierających. Specjalne powody po temu kryły się w prawym płucu kapelana. Z tych też powodów ksiądz kapelan z każdym rokiem stawał się człowiekiem lepszym.

Czarne, szerokie poły sutanny Chwaciński dostrzegł przelotnie, gdy zamykał za sobą drzwi mieszkania. Środkowy pokój był wspólny. Za drzwiami na lewo mieszkał kolega Józef Kopytko. Na prawo był pokój Chwacińskiego. Chwaciński przez chwilę kilka stał bez ruchu, nasłuchując. „Śpi!” – pomyślał. Obudzenie kolegi bynajmniej nie leżało w jego zamiarach. Ale w rzeczywistości cisza w sypialni Kopytki tłumaczyła się czymś innym. Po prostu nie było tam nikogo. Jeszcze przed dwoma godzinami obudzono młodszego asystenta, chociaż za nic się nie chciał obudzić i przez sen mamrotał:

– Przecież dyżur kolegi Chwacińskiego, przecież dyżur pana doktora Chwacińskiego!

Kiedy ocknął się i przypomniał sobie, że obiecał Chwacińskiego zastąpić, włożył głowę pod kran, narzucił na piżamę chałat i zszedł na piętro tamować krwotok.

Chwaciński, balansując na palcach, dotarł do swego pokoju i nie rozbierając się, zwałił się na kołdrę. W pokoju było jeszcze chłodno, ale w kaloryferach charkało i turkotało.

II

Od tego turkotu na parterze w ogólnej sali chirurgiczno-brudnej, pod której oknami przystanął Chwaciński, obudził się chory Antoni Dracz. Dotknął dłonią ciepławych rur i niespokojnie usiadł na łóżku. Nieuleczalnie chory na gruźlicę nerek i płuc, przebywał w szpitalu szósty rok bez przerwy. Był tak zwanym chronikiem, chorym chronicznym. Toteż zajmował łóżko aż do śmierci lub do wyrzucenia ze szpitala.

Byłego kolejarza Antoniego Dracza przezwano grajkiem szpitalnym. Koło jego wezłowania często zbierali się chorzy z innych sal, patrząc z zaciekawieniem na dziwaczny instrument koncertowy. Dracz, nucąc przyjemnym, zachrypniętym tenorkiem, wygrywał ukraińskie piosenki.

Poza tym cierpiał na dokuczliwą bezsenność. Nawet po zażyciu środków nasennych zasypiał bardzo późno. Nie dawał spać innym: wsparty na łokciu opowiadał sąsiadom bajeczki ze swego życia. Dobrze po północy, zmorzony wreszcie proszkami, opadał na poduszkę i spał ciężko, bez snów, budząc się dopiero w czasie obchodu, kiedy kożuszek na zimnej kawie był już pomarszczony i twardy. Ale tego dnia, mimo weronału, Dracz obudził się już o godzinie szóstej rano, gdy w rurach centralnego ogrzewania zabulgotała para, a doktor Chwaciński wreszcie dobrnął do sypialni. – O! – zaniepokoił się Dracz.

O życiu z zewnątrz i o przeszłości można było rozprawiać po nocach, bez żalu, bez tkliwości, raczej aby wypełnić bezsenność; w dzień żyło się tylko sprawami szpitalnymi. Były opatrunki, karty, krzyżówki w gazetach, była też od wiosny całkiem niezła zabawa muzyczna. Nawet pewien chory, który chodził po kryjomu na przedstawienie wędrownego cyrku, wróciwszy oświadczył na sali: że tam grają gorzej. Dziecinniało się powoli: drobiazgi nabierały znaczenia. Każde głupstwo, zabawa, żart i docinek ważyły ciężarem fizycznej potrzeby szczęścia, każdemu prawdziwemu smutkowi nadając znaczenie głupstwa. O własnej bezużyteczności Antoni Dracz od dawna już przestał myśleć.

Na sali było jeszcze ciemnawo, chociaż nocna liliowa lampka nad drzwiami już zbladła. Dracz znowu pomacał kaloryfer i przekonał się, że jest coraz cieplejszy. Ponieważ na sali wszyscy jeszcze spali, o muzycznych ćwiczeniach porannych nie mogło być mowy i chory nie mógł się przekonać, czy obawy jego są płonne. Bezradny tulił się w chałat. Chory numer

czwarty, leżący o dwa łóżka od niego, jęczał przez sen. Para w kaloryferach syczała, za oknem w zadymionym brzasku z wolna opadały szerniałe liście.

Dracz westchnął głośno, a z sąsiedniego łóżka odezwał się chory numer drugi.

– Co się stało? – spytał.

Głos miał taki zaspany, że Antoni Dracz z początku nie usłyszał. Sąsiad znowu drzemał.

Na korytarzu brzęczał stłumiony dzwonek, ktoś w pantoflach z filcu przebiegł obok drzwi, szmer kroków był lekki i pieszczotliwy, choremu zaś leżącemu o dwa łóżka od Dracza – porucznikowi Łasiczowi – na którym przed paroma dniami w czasie nieobecności naczelnego lekarza dokonano ciężkiego zabiegu chirurgicznego z powodu ropiejącego martwaka kości – śniło się, że jeździ na nartach. Był to sen skądinąd okropny.

Ale Dracz myślał o kaloryferze i westchnieniami ponownie zbudził sąsiada.

– Co się stało? – powtórzył chory numer drugi i wtedy grajek szpitalny pochylił ku niemu zmieszaną twarz ni to starca, ni to dziecka.

– Zdaje się, że palą w kaloryferach – szepnął.

Sąsiad od razu zrozumiał wszystko.

– Niemożliwe! – zawołał ochryple, nieostrożnie poruszywszy się na poduszkach, wskutek czego dren przymocowany między żebrami drgnął boleśnie. – Ooo... – stęknął, a z otworu siknął płyn wysięku.

Jednocześnie Łasiczowi śniło się, że wykonuje telemarki i krystianie, ale w pewnym momencie narta złamała się, chory upadł i przez sen zaczął rozcierać nogę od uda w dół. Nagle namacał coś, przekonał się, że to prawda, i podskoczył na materacu krzycząc.

– Tssz... wolnego! – powiedział Dracz i wzniesionym ramieniem machnął w jego stronę. Potem znowu dotknął ciepłego pieca.

Natomiast w drugim kącie sali jakiś inny chory targnął zabandażowanym łbem i warknął: – Dajcie spać! – Łasicz w zamroczeniu morfinowym obejrzał się nieprzytomnie, zwymyślał doktora Chwacińskiego od psów i zwałił się z powrotem jak ścięty.

Sąsiad Antoniego Dracza czekał, usiłując nie kaszlać, nie oddychać, żeby prędzej minął ból w boku. Wreszcie podźwignął głowę i spytał cicho:

– Czy pan się nie mylisz?

– Nie – odrzekł Dracz – są już ciepłe.

Nie wiadomo było, co począć. Szare światło sączyło się przez okna, na podwórku dym wznosił się coraz wyżej i już wylaniały się wierzchołki drzew. Nagle sąsiad wyciągnął spod koca rękę, wskazał kaloryfer i chrapnął:

– Niech pan prędzej zamknie!

To było proste i oczywiste. Antoni Dracz szarpnął za rączkę, w rozgrzanych rurach coś stuknęło smętnie, muzyk szpitalny pochwycił ten dźwięk podejrzliwie i niechętnie, chory numer czwarty znowu zjeżdżał na nartach ze stoku Goryczkowej i znowu się wywrócił, uderzając kolanem w głaz. W sali było chłodno. Chłodno było i po dwóch godzinach, kiedy sanitariusz przyniósł śniadanie, a siostra zakonnica termometry.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała – dlaczego na waszej sali tak zimno?

Antoni Dracz smarował masłem bułeczkę, popijając z kubka gorzką kawową lurę. Wydało mu się, że złośliwie uśmiechnięta, zwraca się przede wszystkim do niego. Bał się tej siostry. Przypuszczał, że wraz z doktorem Chwacińskim jest pierwsza w obozie ludzi znużonych jego wieloletnim bezpłatnym pobytom i dążących do wyrzucenia go ze szpitala. O mało się nie udławił.

– Jest tu bardzo ciepło, proszę siostry – zaprzeczył i spojrzał na sąsiada.

– Tak jest, tak jest – potakiwał sąsiad.

Zakonnica szeleszcząc spódnicami wyszła. Chory numer czwarty, ociężały po nowym zastrzyku, ale bojący się zasnąć, zapytał Dracza:

– Czy to prawda, że pański kaloryfer sam bulgotał w nocy?

– Bulgotał – zawstydził się Dracz.

Chorzy współczująco spojrzeli na grajka.

– Nie bój się – rzekł jeden, a drugi mruknął:

– Marnują tylko węgiel, bo za wcześnie zaczynają palić. Przecież na dworze jest całkiem ciepło.

Lecz było bardzo chłodno.

Do bramy szpitalnej wjechała żółta bryczka wioząca ordynatorów Sełmońskiego i Waczurę – z końskich grzbietów wschodziła para. O godzinie dziewiątej rozpoczął się obchód lekarski. Pierwszy kroczył brzuchem naprzód chirurg Brieg. Chociaż nie lubił ciepłej bielizny, miał pod spodem jegierowską koszulkę, do której włożenia go zmuszono.

Siwy, o pochylonej na bok głowie, o jednym ramieniu niższym niż drugie, o sterczących kłakach białej bródki – dreptał trochę z tyłu internista Sełmoński. Jedną ręką przytrzymał na piersi luźny chałat, w drugiej dzierżył stetoskop. Staruszek, zdawało się, chciał powiedzieć: „Dzieci, dzieci, źle się bawicie!”

Jako trzeci, wysportowany i sprężysty, szedł młodszy asystent Józef Kopytko. Chorym zdawało się, że zaraz powie: „lu go w mordę”. Kokietyjny, kraciasty motylek nieodstępnie siedział pod jego grdyką.

Na ostatku sunęła spokojnie zakonnica Antonina, siostra operacyjna – przeto cała w bieli. Trzymała błyszczące, metalowe pudło z narzędziami i watą. Ale doktora Chwacińskiego nie było.

– A gdzie pan doktor Chwaciński? – zapytał Brieg, rozpoczynając obchód.

Józef Kopytko nie mrugnawszy skłamał:

– Kolega Chwaciński w bakteriologicznym puścił wirówkę, zaraz wróci – chociaż w rzeczywistości doktor Witold Chwaciński z ręcznikiem na głowie siedział przed lustrem i dopiero zaczął się golić.

– Aha, aha – sapnął ufnie naczelny lekarz i ruszył. Na sali ogólnej zauważył: – Przepraszam bardzo, ale tu jest diabelnie zimno, moi panowie! – i zwrócił się do zakonnicy: – Przepraszam bardzo siostrę, czy okno nie było za długo otwarte, czy może nie działa kaloryfer?

Na to chorzy zawołali chórem:

– Jest nam bardzo ciepło, panie dyrektorze.

Antoni Dracz miał dwie przetoki, jedną nad nerką, drugą w międzykroczu. Antoniemu Draczowi robiono opatrunek, leżał rozebrany, pokryty gęsią skórą.

– Trzeba tu przysłać palacza – rzekł lekarz naczelny, Gruby, jak go przezywano, i umył ręce spirytusem. Pękaty brzuch wypinał biały chałat lekarski, płótno gwiazdkami marszczyło się wokół guzików. – Niech zobaczy, co się stało.

Ale palacz okazał się zbędny. Zakonnica Adela spostrzegła sama, że kaloryfer był zwyczajnie zamknięty.

– Fajtlapy z was, panowie – rzekła i otworzyła kurek. Wówczas w rurach ku ogólnemu zmartwieniu znowu zahuczała para, coś zaczęło rzeźić przenikliwie i ohydnie.

Zakonnice Adelę chorzy nazywali z cudzoziemską Fidelką, siostry Fidelki bardzo nie lubiano. W ciemnogramatowych spódnicach, w sterczącym, kłującym oczy korneście, wysoka, wychudła, wyżółkła, przychodziła na salę, niosąc tacę z lekarstwami.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – mówiła. – Jutro ksiądz kapelan będzie spowiadał tego pana, co miał transfuzję. Może któryś z was również zechce pójść do spowiedzi? Warto by o tym pomyśleć.

W większości wypadków nikt się na to nie godził, potem zauważono, że jedzenie i obsługa stają się w razie odmownej odpowiedzi gorsze, i chorzy umówili się spowiadać po kolei. Tego jednak dnia o spowiedzi nie było mowy. Gdy skończył się obchód, z różnych sal i

oddziałów wyszli chorzy i kulejąc i kusztykając, o kulach i laskach, w szlafrokach i pasiastej bieliźnie, sunęli parami do sali, gdzie leżał muzyk Ryszard Antoni Dracz. Drzwi sali były otwarte na oścież, na sali było bardzo gorąco, termometr ścienny wskazywał siedemnaście stopni, termometr pod pachą chorego numer pierwszy – trzydzieści siedem i siedem, Dracz jednak nie przejmował się tymi kreskami. Kręcąc głowami, chorzy dotykali rur kaloryferów, jeden z nich rzekł opryskliwie:

– Parzy jak patelnia.

– Może to nie przeszkadza – rzekł inny – spróbuj z początku.

Nawet chory numer czwarty, patrząc w sufit – istniały bowiem smutne względy, dla których unikał patrzenia na podłogę – nawet ów chory rzekł:

– Musi pan koniecznie przedtem spróbować.

A sąsiad Dracza poprawił wystający z bandaży dren i chrząknął:

– Rznij, Walenty, Bóg się rodzi.

Za oknem w podwórku i w ogrodzie było przeraźliwie pusto, jedynie po zawiłej ścieżce między wilgotnymi pniami przeszedł do kostnicy sanitariusz w poplamionym jodyną kitlu, z czerwonym krzyżem na białym ramieniu.

Antoni Dracz usiadł i zgarnął z czoła włosy. Zrobił to z takim namaszczeniem, jak gdyby zamierzał się przeżegnać. „Trzeba rzeczywiście spróbować!” – pomyślał.

Wziął ze stolika łyżeczkę do kawy i metalowy futerał termometru, chorzy poruszyli się i zastygli, zapadła cisza, ktoś zawołał:

– Więc zagraj *I szumyć i hude, dryben deszczyk ide!*...

Antoni Dracz natychmiast spowaźniał, w prawej wibrującej ręce już trzymał futerał, potem nagle przejechał nim po wszystkich rurach parowego pieca. Jednocześnie lewą ręką pochwyił łyżeczkę, uderzył nią po drugim i czwartym żebrze, podczas gdy metalowy futerał zadźwięczał drgającym jękiem nad piątym, szóstym, siódmym, potem walnął pięścią w górną część rur, rury zahuczały jak organy, posrebrzana łyżeczka przeskakiwała z zebra na żebro, a futerał już prowadził pierwszym głosem melodię.

Lecz dziś nic z tego nie wyszło. Rury były pełne gorącej pary, dźwięki wydostawały się głuche, fałszywe, niektóre żebra brzmiały o pół tonu niżej, ostatnie zaś nie odpowiadało wcale.

III

Leżący o dwa łóżka od Dracza chory numer czwarty, Władysław Łasicz, był podporucznikiem rezerwy. Zachował o wojsku wspomnienia najlepsze, ale nie wzajemne, gdyż usunięto go stamtąd po dyscyplinarce. Obchód lekarski nie zatrzymał się koło jego łóżka, ponieważ w tym czasie zamorfizowany Łasicz spał, śniło mu się znowu, że jedzie na nartach. Śnieg był puszysty, powietrze niczym najczystsza woda, chory brał udział w biegu zjazdowym i pierwszy przybiegł do mety. Pozornie był to najprzyjemniejszy sen, jaki można sobie wyobrazić. Ale w południe, w czasie roznoszenia obiadu, spotkała chorego śnieżycą, mokre kłujące obłoki runęły w dół, wiatr osmałił mu twarz, potem cisnął go do jakiejś białej przepaści. Wtedy złamała się prawa narta, chory upadł i z całej siły wyrznął kolanem w głaz. Lecz smak anegdoty polegał na tym, że właściwie wyrznął rzeczą nie istniejącą, albowiem prawa noga porucznika od czterech dni już spoczywała w ogrodzie pod krzakiem bzu, za murem kostnicy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI

